

Melodramat z wyższych sfer

Terence Rattigan: „Wariacje na temat”. Sztuka w 4 obrazach. Przekład: Krystyna Jurasz-Dąbajska. Reżyseria: Jan Kulczyński. Scenografia: Stanisław Bąkowski. Układ tanca: Sabina Szadkowska. Premiera w Teatrze Polskim w Warszawie.

Terence Rattigan jest doświadczonym dramaturgiem, Nina Andrycz jest wybitną aktorką, zespół Teatru Polskiego dysponuje poważnymi artystami, mając pełne możliwości dobrego obsadzenia kameralnej sztuki. Dodajmy do tego, że Stanisław Bąkowski jest bardzo utalentowanym scenografem i zaprojektował do tego przedstawienia bardzo ładne dekoracje i kostiumy.

A jednak całość okazała się niewypałem. Dlaczego? Przede wszystkim ze względu na słabość sztuki. Rattigan zapragnął napisać Wariacje na temat „Damy Kameliowej”, przenieść jej fabułę w nasze czasy i uwspółcześnić twórcę Dumasa. Niestety, fabuła wydartą z romantycznej konwencji XIX stulecia okazała się cikliwa i melodramatyczna, nie mogąc współczesnego widza wzruszyć, lecz najwyżej rozśmieszyć. Technika dramatopisarska Rattigana okazała się staromodna, a więc nieprzydatna. A w dodatku granie u nas tego melodramatycznego romansu z wyższych sfer z tymi wszystkimi milionerami i tragediami ich utrzymanek oraz dramatami żigolaków, nikogo chyba nie interesuje, czy zakrawa na niedobry żart. Jakże daleko odszedł tu Rattigan od „Kadęta Winslow”, który wnosił jednak pewne istotne problemy społeczne i moralne...

Drugim powodem niepowodzenia teatru był nadmierny pietyzm reżysera dla tekstu autora. Jeśli można było coś uratować, to tylko przez zasadnicze cięcia w banalnych dialogach i satyryczne potraktowanie całości. Gdyby to wszystko zawrzeć w cudzysłów śmieszności, gdyby pokazać to jako parodię angielskiej Mniszkówny i angielskiego „Ordynata

Michorowskiego”, czy angielskiej „Trędowatej” — może byłoby to zabawne. Niestety, sztuka potraktowana została na serio i tak też zagrana. Spektakl dłużył się niemiłosiernie (szczególnie ostatni obraz był nie do zniesienia) i mimo prawdziwych łez na scenie nie wyciskał łez na widowni. Płakać można było jedynie nad zbędnym trudem poważnych aktorów i niepotrzebnym wysiłkiem teatru.

NINA ANDRYCZ starała się być z wysiłkiem godnym uznania naturalną, co jej się nawet niekiedy udawało. Wyglądała bardzo ładnie we wspaniałych toaletach kochanki milionera. Gdyby jeszcze rzadziej posługiwała się sztucznie brzmiącym nadmiernie wysokimi i nadmiernie niskimi rejestrami swego bogatego i dźwięcznego głosu, można by powiedzieć, że była to jedna z najlepiej przez nią w ostatnich latach zagranych ról. Bardzo dobrze, twardo i zimno zagrał milionera niemieckiego JANUSZ ZAKRZEŃSKI. ANDRZEJ ANTKOWIAK najwięcej chyba zawarł satyrycznego komentarza w swoim potraktowaniu postaci tancerza i utrzymania bogatych pań i panów. ZOFIA MAŁYNICZ była angielską damą o nieskazitelnych manierach. Tak rzadko oglądamy tę wybitną aktorkę na scenie, że aż żal było, iż musi marnować swój wielki talent na taką robotę. Niezawodnym w roli gentelmana-pederasty był WŁADYSŁAW HANCZA. EUGENIA HERMAN poruszała się zmysłowo w roli lwicy salonów, zaś WACŁAW SZKLIARSKI był jej wytwornym którymś tam z kolei partnerem. Na szczególne wyróżnienie zasługuje w tym przedstawieniu JOLANTA WOŁŁEJKO-CZENGERY. Z małej roli córki bohaterki dramatu stworzyła postać równie prawdziwą i oryginalną, ile zabawną i dowcipnie pomyslaną, bardzo dobrze podpatrzoną. Zasłużyła też sobie kilkakrotnie na oklaski przy otwartej kurtynie.

ROMAN SZYDŁOWSKI